

Szalony ból owładnął całym jestestwem zrozpaczonej kobiety na myśl, że znalazł się ktoś przecież, którego, baczenie się rozglądając, nie dostrzegła, którego kroków nawet zdala nie słyszała, a która tu chce jej wydrzeć ostatnią pociechę.

Istotnie kiedy przed spełnieniem samobójstwa rozejrzała się panna Reman dokoła siebie, nie było nigdzie nikogo. Ale w ostatniej chwili spostrzegł ją kozak, który na niskim a lotnym koniku od Zamku do Belwederu, dla skrócenia sobie drogi, pędząc z tajnymi w torbie rozkazami, przeleciał jak strzała wzdłuż bulwarku Powiślem. Co dopiero widać go jeszcze nie było. W minutę później już był przy niej, kiedy się nawet niczyjej nie domyślała przy sobie obecności...

Żołnierz zrozumiał, w jakim zamiarze mogła się ta kobieta na samej krawędzi brzegu znaleźć nad rzeką o tak wczesnej godzinie porannej wśród pustkowia, tego rodzaju bowiem tragedye ciche bez widzów stały się chlebem powszednim wielkiej Warszawy.

Ledwie ją tylko spostrzegł, skreślił nagle w bok, konia w biegu osadził w miejscu i tylko się z niego przechylił nieco, by ręką dosięgnąć ramienia desperatki. Jedno mgnienie oka a już byłoby za późno, już byłoby trzeba w nurtach rzecznych szukać topielicy. Kozak zdążył w porę powstrzymać nieszczęsną od ostatniego kroku.

Prawie nieprzytomna obejrzała się za siebie. Żołnierz z ręki nie puszczał jej paltocika, za który ją schwycił. Uwolnił ją dopiero, gdy się na kilka kroków oddaliła od wody, postępując chwiejnie obok konia.

Mimo jej zakłęk błagalnych, by jej pozwolił odejść swobodnie, kozak kilkakrotnie gwizdnął przeraźliwie, śmiejąc się przytem dobroduszenie. Rychło usłyszeli zdala odgłos ciężkich kroków. Ktoś biegł żywo ku nim po bruku ulicznym. Zaraz potem przycichło, wezwany bowiem pędził już po piasku i szybko zbliżał się ku nim. Na jego widok żołnierz z konia zakrzyknął, a struchlała kobieta słaniająca się przy nim, oparła się o parokan.

Nadbiegający człowiek zwolnił kroku, wreszcie ciężko sapiąc, podszedł do nich. Był to stójkowy brodaty, rosły i otyły, do którego kozak słów kilka urywanych wyrzekł krótko po rosyjsku i zostawiwszy mu ocaloną desperatkę, pognął dalej w górę Wisły, bo mu ślad musiał być śpieszno.

Wtedy policyant zaczął się przyglądać uważnie młodej kobiecie.

— A co tu u was jest w tej chustce — zagadnął i zaraz, odpowiedzi nie odebrawszy, sam odsłonił.

— Aha... dziecko... wasze dziecko... oho... nie żywe?

I zajrzał w oczy drżącej na całym ciele ko biety, topiąc w nich przenikliwe spojrzenie swoich ogromnych na wierzch wylażających siwych oczu.

— Moja dobra pani, tak może mnie powiecie, z czego to są na bieliźnie takie plamy... to przecież jest krew — gadał dalej, wskazując na czerwone ślady na koszulce dziecka.

Maryla milczała a w oczach jej zrobiło się tak ciemno, że sama nie widziała w tej chwili plam, które jej stójkowy wskazywał.

— No, kiedy wy mnie nic nie powiecie, tak ja wam może sam powiem... To pani sama zabiła swego rebenoczka... No, wpierod... pójdzie pani ze mną... Tak przecie muszę aresztować, skoro jesteście podejrzana o zamordowanie dziecka... Cóż ja winowaty... pewnie, że to okropne podejrzenie.

Wszystko na próżno.

Znajdujemy się znowu w Łodzi. Jest wieczór. Na ulicy Piotrkowskiej, w okolicy między Dzielną, a Pasażem Meyera stoi pod latarnią na chodniku Halka Modrzewska.

Nie zważając na przechodniów, którym jak zawsze śpieszno i którzy dla tego mijając ją, potrącają co chwila, młoda dziewczyna nie spuszcza wzroku z drzwi kantoru, przy których błyszcza w świetle elektrycznym złożone litery szyldu z nazwiskiem „Goldenthal“.

Jest to właśnie chwila zamykania interesów handlowych i przemysłowych. Co trochę słychać hałaśliwe spuszczenie żelaznych zaluzyj i ryglowanie drzwi i okien sklepów. Tu i ówdzie gasną nagle światła w oknach kantorów bankowych i fabrycznych.

U Goldenthala jednak pracowano jeszcze we wszystkich biurach ogromnego kantoru.

Modrzewska już się niecierpliwiła, oczekując czyjegós wyjścia stamtąd. Czas oczekiwania skracała sobie myślą, że przecie udało jej się znaleźć drogę, która prowadzi do ocalenia ukochanego

Mecia. A przytem co chwila ręką przyciskała do piersi ukryty za gorsem list, jaki od niego dostała przed godziną, pełen próśb o przebaczenie ojcu za srogą zniewagę jej wyrządzoną.

Wtem nagle zerwała się z miejsca i postąpiła kilka kroków w stronę drzwi kantoru, z których wyszedł młody, przystojny mężczyzna i rozglądał się z progu na wszystkie strony.

Zobaczył nareszcie Halkę Modrzewską i zwrócił się do niej uradowany.

— Ah, dobry wieczór pannie Toli.

Zmiotła ich fala przechodniów, więc uszli parę kroków dalej i przystanęli we framudze jakiegoś zamkniętego już sklepu.

Wtedy Halka patrząc mu prosto w oczy, spytała cichym szeptem:

— Czy możesz pan spełnić moją prośbę?

— W szerokim zakresie nawet, ale łaskawa pani — dodał młody człowiek z pewnem wahaniem w głosie — moja cała egzystencja zależy od tego... Gdybyś mnie pani zdradziła, panno Tolo... Prywatny kantorek przeszukałem cały, niech pani



Jeszcze raz ucałowała zastygłe ciało ukochanego jedynaka, potem przycisnąwszy je sobie do łona, wydała lekki okrzyk, z którym już miała się rzucić w nurty Wisły — gdy ją za ramię schwyciła silna ręka i pociągnęła wstecz gwałtownym szarpnięciem w górę.

pomyśli, coby się stało, gdybyś mnie pani wydała z sekretu.

— Póki życia, nie zdradzę pana, przysięgam ci na to — odparła Modrzewska energicznie, poczem skierowali się oboje w boczną i pustą ulicę, żeby móż rozmawiać swobodnie.

Tu Halka Modrzewska, która dla niego była tylko Tolą Orliczówną, zatrzymała swego towarzysza pod latarnią i głosem drżącym od wzruszenia mówiła, upewniwszy się, iż nikt ich nie słucha.

— Przysięgam ci wskazać nazwisko uodźciela siostry pańskiej i zapewnię, że dostarczę panu dowodów, stwierdzających w zupełności moje słowa... Czy to panu wystarcza?

Co mówiąc, list złożony w kilkoro podała młodemu człowiekowi, którego twarz pod wpływem jej słów zbladła jak ściana.

On papier pochwylił gorączkowo z jej ręki, rozwinął go pośpiesznie i zaraz czytał przy świetle gazowego płomienia. W miarę czytania twarz mu się wykrzywiła a oczy ciskały błyski złości. Wreszcie doszedłszy do końca, podniósł wzrok na Modrzewską i zapytał:

— Skąd pani ma ten list?

— Nie pytaj mnie pan o to, panie Ludwiku.

— Boże mój, Boże — jęczał młody człowiek łamiąc ręce — a ja nic nie przeczuwałem, nigdy nie domyśliłem się niczego... ja tego człowieka miałem za swego dobroczyńcę... Ośmieliłem się nawet wzgardzić własną siostrą, którą on popchnął w nieszczęście i w nędzę... A ona biedaczka, teraz pojmwować zaczynam, ona to dla mnie przecierpiała wszystko cierpliwie, poświęciła się za mnie... I ten łotr uwiódł ją, porzucił tak sromotnie.

Wtedy Modrzewska położyła rękę na jego ramieniu i zaglądając mu w oczy, szepnęła:

— Uspokój się pan, proszę i słuchaj mnie, panie Ludwiku. Czy pragniesz zemsty, czy chcesz pan ratować honor swojej biednej siostry?

Mężczyzna nic na to nie odpowiedział, tylko list w palcach mnąc kurczowo i zęby wściekle zaciskając, wznosił oczy w górę.

— Panie Ludwiku, niechże mi pan wszystko teraz powie, co tylko masz mi do powiedzenia, ponieważ czas mój wymierzony na godziny.

— Owszem, teraz musisz pani wszystko wiedzieć... Otóż był tam hrabia, siedział długo, bardzo

długo... Więc baron zaślubi hrabiankę, a stary hrabia sądzi, iż Goldenthal uratuje go. Tymczasem ten potwór, którego czarą duszę djabelską dziś dopiero na wskroś przejrzałem, nie myśli wcale płacić długów hrabiego, ani mu się śni, wiem o wszystkim dokładnie i z czystym sumieniem mogę panią zapewnić, iż hrabianka Wanda poświęca się zupełnie na próżno... zgoda niepotrzebnie zgadza się na tak okropną ofiarę.

— Jeszcze pana nie rozumiem — przerwała mu Halka.

— A jednak jest wszystko tak, jak pani powiadam.

Nachylił się do jej ucha i szeptem mówił dalej prędko.

— Idzie tu o spadek, ale to olbrzymich rozmiarów spadek na korzyść hrabianki, która niczego jeszcze nie przeczuwa i nawet nie może się domyslać... Ale to jeszcze nie wszystko — dodał Ludwik w tonie gorączkowego podniecenia. — Pani nie wiesz o tem, że hrabianka Rożniewska nie jest panną: Dawno wyszła za mąż, ma dziecko, a mąż jej żyje po dziś dzień... I trzeba pani wiedzieć, że ten człowiek kocha żonę szalenie, podobnie, jak ona męża... I zgoda niepotrzebnie popełni istne samobójstwo, druzgocąc szczęście trojga ludzi, na to

jedynie, żeby od hańby ratować ojca i brata, właśnie w chwili, gdy ofiara jej nie tylko na nic się nie zda, ale jest już niepotrzebna...

— Ależ mój Boże — przerwała znowu Modrzewska — w takim razie hrabianka Wanda popełnia wielkie przestępstwo, przecie w podobnym wypadku będzie winną bigamii... Czy pan znasz nazwisko męża hrabianki Rożniewskiej?

— Owszem, doskonale znam... Doktor Jan Anielski, lekarz w Warszawie. Mógłbym nawet służyć pani adresem dokładnym. Z pamięci numeru pani nie podam, ale napewne pamiętam, że Aleje Jerozolimskie. Zresztą mieszkanie lekarza łatwo odnaleźć. Doktor Anielski, zapamięta pani.

— Wystarczy mi to, co wiem, panie drogi, dzięki serdeczne... Teraz dopiero wiem, co mam czynić...

Pośpiesznie pożegnała się z nim Modrzewska i drobnym krokiem pobiegła w stronę swego mieszkania. Całkiem myślami zajęta, nie zauważyła nawet, iż jakaś męska postać śledziła ją bez przerwy i przed domem, do którego weszła Halka, w pewnym oddaleniu przystanęła na straży.

(Dalszy ciąg nastąpi).